1846. Nr 19. ROK 5.

**Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.**

# PRZEGLĄD NAUKOWY



## BADANIA

### We względzie Literatury krajowej. Z powodu Historyi Literatury polskiej w zarysach.

Jeżeli w historyi narodu dzieje nauk będą zaniechane, wtedy można uważać ją za posąg Polifema z wykłutem okiem, posąg, któremu właśnie na tém zbywa, co naturę i przymioty osoby najbardziéj rozpoznać daje. *Bakon.*

Ile razy zastanawiałem się nad znanemi, powszechnie *tak zwanemi* Historyami Literatury naszéj—zawsze mi się zdawało, że to rzeczy, materyały, rapsody, urywki z całości wielkiéj organicznéj, która jest wymogiem (postulatem) naszego rozumu, a któréj jednak w rzeczywistości nie ma. W istocie! Dotąd nie mamy Dziejów Literatury pojętych wszechstronnie, t. j. ożywionych myślą—dziejów, w którychby, obok jedności myśli i uczucia ożywiającego arcydzieło nauki, widać było całą zimną krew, całą prozę przepracowania faktów, potoczną, pracowitą jak życie, prozę badania, daleką od wszelkich gorączkowych, nienaturalnych uniesień i wniosków niezgodnych z naturą rzeczy (faktów).

Nie bez pożytku jednak czytać można rzeczy przygotowane do przedmiotu, o którym mowa, pod niewłaściwą nazwą Historyi Literatury—a że nie bez pożytku, zastanowić się zatém wypada nad niemi i przetrawić w ogniu krytyki materyały dane, aby poznać co jest rudą złotego kruszcu, a co stanowi części obce, nikłe, żadnego nie mające znaczenia.

Kiedy już ukazała się w druku cała praca Pana Wojcickiego, czas więc zastanowić się jakie ma znaczenie dzieło jego w piśmiennictwie naszém. Mazur z Płockiego zwrócił już na to dorywczo uwagę, np. w słówku o Krasickim i w Literaturze od czasów Saskich aż do naszych i t. p. Teraz zastanowimy się i rozbierzemy szczegółowo tom 1szy P. Wojcickiego i pokażemy jego zalety i wady.

K. Wł. Wojcicki należy niewątpliwie do najpracowitszych zbieraczów rzeczy krajowych i za to cześć mu i chwała: ubliżalibyśmy wszakże rozsądkowi czytelników i samego autora, gdybyśmy dzieło jego uwielbiać chcieli bezwarunkowo i tam nawet widzieli zalety, gdzie ich nie ma.— Najlepsze w świecie chęci znamionują wybitnie pracę szanownego autora, tyle zasłużonego w literaturze.— Jednak dzisiaj nie dosyć dobrych chęci do napisania dzieła—zobaczmy więc co te chęci wydały a co jeszcze dokonać pozostało?

Pod względem materyałów, nie mało bogactw zebrał P. Wojcicki—że jednak nie dotknął wszystkiego, pokażemy to później w rozbiorze dalszych tomów Historyi Literatury.

Najkorzystniéj zdaje się będzie dla autora *Historyi literatury polskiéj w zarysach*, jeżeli dzieło jego uważać będziemy, jak wielkie wypisy polskie z wiadomością o pisarzach. Pierwsze pytanie jakie sobie zadaje autor dzieła, dawszy pojęcie o przedmiocie jego—jest podział czyli porządek rzeczy, ogólny i szczegółowy, jaki ma zachować w toku wykładu. Porządek ogólny stanowi: podział na okresy czyli peryody, a szczególny—podział utworów Literatury w każdym okresie. P. Wojcicki w ustępie o podziale Literatury polskiéj na okresy, przedstawia naprzód podział Bentkowskiego, potém Łukaszewicza, następnie zaś Michała Wiszniewskiego, autora największego zbioru rzeczy do Hi-

storyi Literatury polskiéj. W dalszym ciągu rzeczy obecnéj rozbierzemy wartość tych podziałów i przyjętego przez P. Wojcickiego a może nawet przedstawimy własne pojęcie o podziale na okresy dziejów Literatury krajowéj. Następują ustępy o bibliotekach, drukarniach, drzeworytach, drukach, nad któremi się nie ma co zastanawiać; bo to są ustępy w całém znaczeniu tego wyrazu, to jest zboczenia od przedmiotu, jakie się zdarzają w naszych czasach coraz rzadziéj i tém rzadziéj, im dzieło napisane systematyczniéj, im autor lepiéj przedmiot pojmuje, im głębiéj myśl jego przenika. Rzeczy o których mowa, są bezwątpienia ważne, ciekawe dosyć, a nieraz nawet obchodzące nas bardzo żywo—nie powinny były jednak znaleźć miejsca w dziejach Literatury. Ta myśl nastręczała nam się niejednokrotnie, mimowolnie w bardzo wielu miejscach przy czytaniu dzieła Szanownego P. Wojcickiego, chociaż już przywykliśmy do nieładu w porządkowaniu materyałów, z któremi autor nie wiedział co począć i dla tego w różne je powtrącał miejsca. Nie zwracalibyśmy na to uwagi, ceniąc dzieło P. Wojcickiego bardzo szacowne, jako wypisy—ale że i w tak wielkich wypisach porządek konieczny, że nareszcie sam autor winien, iż je nazwał *Historyą Literatury w zarysach* — sam sobie zatém winę przypisze, jeżeli radzi nie radzi na nieporządek w układzie materyałów, nie raz jeszcze nastawać będziemy.—Nawét tam gdzie Wojcicki podaje szczegóły nieznane dla wielu, ciekawe np. jak u nas płacono za książki, jak rozrywano Jana z Tęczyna i t. p. nie możemy mu darować nieporządku, bo to wszystko do Literatury właściwie należyć nie powinno.

„Zanim przystąpimy do wskazanych okresów (pisze autor na środku białéj karty, jakich jest bardzo wiele w 4 tomach dla zbogacenia objętości dzieła), zwrócim uwagę na te rodzaje poezyi, które najwięcéj uprawiane były w Literaturze starożytnéj, a niektóre z nich w obecnéj nawet znalazły miejsce.”

W téj uwadze pokazuje się wada organiczna całego dzieła. Autor mówi naprzód o liryce, to jest pieśniach i zwraca uwagę naprzód głównie na pieśni religijne (nabożne) a mianowicie sławną pieśń *Bogarodzica*, którą opisuje bibliograficznie. W ogóle takie bibliograficzne

ustępy przy rzeczach pojedynczych, są rzeczą niepotrzebną w dziele które ma stanowić całość dziejową. Bibliografia będzie zawsze starannie uprawianą: do dziś dnia pracuje nad nią ze szczególną troskliwością Adam Jocher. Wyjdzie także wkrótce rzecz krytyczno-bibliograficzna nad najnowszemi czasami (XIXtym wiekiem) i t. p., zatém piszący dzieje Literatury, stronę bibliograficzną ludziom specyalnym, ludziom fachu zostawić powinien—jeżeli zaś chce pisać sam coś w tym przedmiocie, to w dziele osobném ale nie ogólném, jakiém jest *Historya Literatury polskiéj w zarysach.* Może P. Wojcicki odpowiedzieć na swoję obronę, że wiadomości bibliograficzne różne po wielkich i mniéj dostępnych dziełach, chciał uczynić dostępniejszemi dla ogółu—tém jednak naszego zarzutu odeprzéć nie zdoła, bo gdybyśmy się nie wyrwali z koła zaczarowanego bibliografii, nie podobnaby ani kroku postąpić dla napisania *Dziejów Literatury* w całém znaczeniu tego wyrazu. Od formy czyli wiadomości formalnych, to jest powierzchownych o książkach, trzeba przejść do ich treści. Pierwszym krokiem do tego są tak zwane *wypisy*, to jest wyjątki, przytoczenia z dzieł. Praca to mechaniczna, powierzchowna a raczéj—pracy początek.—Zastanawiając się w ogólności nad Literaturą naukową spółczesną, widzimy dwa rodzaje piszących. Jedni nas przytłaczają całym ciężarem erudycyi, materyału surowego, niepotrzebnego, i takiémi w ogóle są, tuzinkowi pisarze niemieccy. Zdolniejsi z nich uogólniają rzeczy, ale to uogólnienie jest czcze, niewypełnione treścią, jest to idea bez życia, ogólnik pseudofilozoficzny. Najznakomitsi jednak badacze tego głęboko myślącego narodu, np. historycy jak Schlosser, Niebuhr, Raumer i t. p. dają nam żywioły dla myśli, ale razem z niémi przepracowywać musimy materyały surowe bez liku. — Drudzy znowu pisarze, jak w ogólności tuzinkowi francuzcy, rzucają ogólniki nieoznaczone, coś mętnego, niewyrobionego (du vague); bo oni uogólniają każdy fakt; a ogólnikiem stąd powstałym brak oznaczoności, wyrobienia i wyrazistości życia. Utalentowani pisarze francuscy nie dają czuć ciężaru swojéj erudycyi, bo oni przepracowali już materyał i dają nam rzecz gotową. Thierry, Guizot, Thiers i t. p. Nie trzeba jednak sądzić, aby pisarze niemieccy nie mogli mieć przymiotów podobnych; owszem widzimy przy-

kłady znakomitéj popularności, obok przepracowania faktów; w dobrych pisarzach niemieckich jakiemi są np. Ranke, Dahlmann i t. p. W panu Wojcickim nie widać zdolności uogólnienia faktów, któréj po historyku Literatury koniecznie wymagać mamy prawo. Gromadzi on materyały a obok nich mechanicznie stawia (juxta positis) ogólnik martwy, który wszędzie przypiąć można, lub całkiem fałszywy. Przykład pierwszego mamy na str. 76, a ostatniego przy rozważaniu np. filozofii Francuskiéj XVIIIgo wieku (tom III, str. 323). Nic łatwiejszego dla recenzenta książki, jak przytaczać wyjątki, które mu się podobają lub przeciwnie; prawdziwy jednakże krytyk nigdy się w tém nie ograniczy, bo czuje potrzebę zcharakteryzowania istoty pisma i ducha piszącego; przytoczeń zaś używa tylko na poparcie widoków swoich i to bardzo, bardzo oszczędnie. Jeszcze oszczędniéj postępować trzeba w przytoczeniach i wyborze wyjątków charakterystycznych, gdy idzie o skreślenie całéj epoki; a cóż dopiero mówić o historyku Literatury, gdy ten obejmuje całość dziejów, wszystkie zwroty i wszystkich niemal pisarzy, w których się tylko duch dziejów przebija? — Tymczasem w dziele P. Wojcickiego same prawie wyjątki i wiadomości bibliograficzne, a czytelnik sam sobie urabiać musi pojęcie o pisarzach i duchu dzieł tychże pisarzy. Nie mając skądinąd wiadomości o niejednym pisarzu, nie moglibyśmy sobie z dzieła P. Wojcickiego utworzyć pojęcia, a o niektórych wyrzekł autor fałszywe zdanie, np. o Karnkowskim, gdy pisze o ich godnościach, zaszczytach, a nie o wykształceniu umysłowém i duchu pism ich, co pokazaćby można w niejedném miejscu na przykładach.

Wracając do szczegółów a mianowicie pieśni *Bogarodzicy*, jeżeli już P. Wojcicki opisał bibliograficznie tę pieśń sławną—dla czegóż nic nie wspomniał o pracy D. Szulca, który się zapatrywał na nią odmiennie od Czackiego i innych w rzeczy *o wieku bolesławowskim* téj pieśni. Byłoby to naprowadziło P. Wojcickiego niezawodnie na myśl postawienia téj pieśni obok najdawniejszych pomników języka polskiego przed psałterzami i bibliami. Jeżeli P. Wojcicki przytoczył tę pieśń, trzeba było wspomnieć nieco o jéj dobréj stronie, jak innych pieśni nabożnych, które autor mieści w okresie drugim i przytacza ich bardzo wiele, nic nam jednakże nie powiada o duchu tych pieśni.

Oddzielnie pieśni historycznych od pieśni ludu w ogólności nie ma żadnéj a żadnéj zasady rozumowéj, dowiedzionéj—tém więcéj że P. Wojcicki do pieśni ludu (w okresie pierwszym) dołączył wiadomość o pieśniach historycznych słowiańskich w ogólności, a mianowicie czeskich, ruskich (Rękopism królodworski, Wyprawa Igora na Połowców).—Zupełnego nieładu w rozporządkowaniu rzeczy dowodzi najlepiéj to, że P. Wojcicki od str. 276 pisze o pieśniach historycznych ludu i niepotrzebny dodaje ustęp o legendach ks. Hołowińskiego—dla tego pewno, aby mieć sposobność zadrukowania kilkudziesięciu stronnic przykładami legend—chociaż na str. 116 i następ. ogólne już poczynił uwagi, przytoczył postrzeżenia nad pisarzami naszemi i kilkanaście stronnic przytoczył z *Maryi* i *Grażyny*. Ostatnie przytoczenie mamy za złe P. Wojcickiemu dla tego, że one należą do ostatniego już raczéj okresu Literatury i kończą jéj koło, zawierając cykl, którego ostatni punkt schodzi się prawie z początkiem, ale początkiem nie jest.— Tak samo za złe mamy P. Wojcickiemu i mocno się dziwimy jak mógł przytaczać blisko 30 kart z samych dzieł przez siebie wydanych, które nie są tak wielką rzadkością bibliograficzną a zresztą wolno autorowi zrobić drugie ich wydanie, powtarzać zaś jednych i tych samych rzeczy w różnych dziełach się nie godzi. Może tu zresztą i nie od rzeczy będzie przypomnieć P. Wojcickiemu, że jego dzieła nie są napisane z tak nadzwyczajnym talentem, aby je przytaczał sam autor we własném dziele. Sądząc pisarza jak najłagodniéj—powiemy, że niestósowne wybrał miejsce tym powieściom i podaniom ludu, które właściwie do ostatniéj epoki Literatury odnieść należało.

Najbardziéj rażącą rzeczą jest to, że P. Wojcicki rozpisuje się na początku dzieła o satyrze, elegii, fraszkach i bajkach. Rozwodzenie się nad témi przedmiotami pokazuje, że autor nie zupełnie pojmuje znaczenie i związek organiczny satyry, fraszki i bajki z życiem samém. O tych wszystkich rzeczach trzeba się było rozwieść w miejscu właściwém, jak o przysłowiach, podaniach i pieśniach ludu przy końcu dziejów Literatury, mówiąc o nowszych czasach i pokazując związek satyry, fraszek, przysłów, pieśni i podań ludu z całém życiem, które bardzo rozjaśnia wszystkie rozwijające się rodzaje piśmiennictwa a

mianowicie też poezyi. P. Wojcicki nie pojął dobrze różnicy literatury piśmiennéj i ludowéj, chociaż rozprawiał o niéj szeroko i długo. Stąd poszło, że nam przedstawia rodzaje poezyi tak jak nas jeszcze w szkołach uczono *w tak zwanéj* teoryi poezyi. W tym względzie pracowicie zebrane dzieło P. Wojcickiego, nic a nic nie zrobiło dla nauki.

Przypomnijmy sobie owe wykłady szkolne poezyi, drukowane poczęści po starych *wypisach polskich*: mowa tam naprzód o najsławniejszych satyrykach, elegistach lub bajkopisach i t. p. za granicą a potém u nas. Gdy mowa np. o satyrykach, wspominają zwykle Reja z Nagłowic pisma i wierszem i prozą (P. Wojcicki o nich nie wspomniał), Jana Kochanowskiego, Łukasza Opalińskiego i znanych w XVII. wieku, np. Naruszewicza, którego porównywują z Juwenalem i t. p. O znaczeniu satyry w literaturze naszéj autor nic nie wie; bo nie czuje jak ze świata uczuć religijnych przeszło nasze piśmiennictwo w świat satyry, co niszczyła młodzieńcze ideały życia bezpośredniego, nie mającego wiedzy o sobie. Widać wyraźnie, że P. Wojcicki napisał kawałek o satyrach, aby się rozwieść nad Rzecząpospolitą babińską —równie jak następujący kawałek o elegistach i trenach, aby przytoczyć Karpińskiego *Powrót z Warszawy na wieś*. Wracając raz jeszcze do satyry, nie uważa P. Wojcicki że u nas całe dzieła pisane w najważniejszych przedmiotach były satyrą a jednak to rzecz ważna, bo inaczéj—pojąć trudno znaczenie najpoważniejszych pism Reja, Górnickiego, bo inaczéj—nie pojmiemy znaczenia polemiki religijnéj w XVI i XVIItym wieku.

P. Wojcicki nie poznał do takiego stopnia fraszek w naszéj Literaturze, że nie wspomniał nawet nic o Kazimierzu z Królówki, który ma (ani wątpić) jeżeli nie większe, to pewno nie mniejsze znaczenie niż Kochanowski w literaturze krajowéj... Fraszki oznaczają swobodę myśli, która się uchylać zaczyna od wpływu klassycyzmu w XVI i XVIII wieku. Wszakże niezawodnie ze wszystkich dzieł Kochanowskiego najoryginalniejsze są fraszki, bo w nich się odbiła niezawodnie cała jego dusza, wszystkie skłonności i chęci. Nie dla czego innego wyrzekł Jan z Czarnolesia:

Fraszki nieprzepłacone, wdzięczne fraszki moje,
W które ja *wszystkie* kładę *tajemnice* swoje.

Prawdą było najszczerszą, co rzekł Kochanowski:

Ja inaczéj nie piszę, jeno jako żyję,
Pijane moje rymy, bo i sam rad piję;
Nie mierzi mnie biesiada, nie mierżą mnie żarty
Pod czas i czepiec, więc téż pełne tego karty.

Gdyby tego uczucia naturalności, téj swobody myśli nie było w Kochanowskim, Reju i t. p. w najrozmaitszych postaciach, nigdyby się nie rozwinął duch krytyczny piśmiennictwa naszego i bylibyśmy zawsze zostali przy sielankach i rozmarzeniu o ideałach bez treści. Może tu nie od rzeczy będzie uczynić uwagę, że Rej i Kochanowski wyrazili usposobienie ogółu szlachty, a nawet zsumowawszy ich życie—byli sobie trochę a może nawet dosyć porządnémi próżniakami, przynajmniej zaś nie zrobili tyle, ileby przy swoich zdolnościach zrobić byli mogli dla piśmiennictwa krajowego, mianowicie zaś Pan Wojski Sandomiérski, który lubił za bardzo wesołość.—Bądź co bądź czuli to i oni sami, że ogół zbierać już zaczął gorzkie owoce z rozmaitego rodzaju nadużyć a nadewszystko z braku poświęcenia i w satyrycznych pismach ich rozwiał się świat ułudy, świat marzeń, czyli raczej rozmarzenia na jawie.

Ten świat marzeń, sielanek, świat ułudy, gdy pewne przedmioty ubóstwiano do najwyższego stopnia, słowem świat uczucia—rozwijała myśl, jak się tylko obudziła czy to z samodzielnego popędu, czy pobudzona przez zewnętrzne wpływy reformacyą niemiecką.

Zastanawiając się nad najdawniejszemi płodami piśmiennictwa naszego, widzimy pisma religijne i tylko religijne przez czas długi. Religia była wtedy żywiołem duszy, siłą karmiącą stęsknione serca, była początkiem i końcem wszelkiej mądrości, słowem była wszystkiem. Ubóstwienie przedmiotów najświętszych dla ludzi, uświęcenie ideałów życia w Bogu-Człowieku i Bogarodzicy,—oto cel myśli i uczuć przodków naszych w ciągu całych wieków zgasłej starożytności—pierwszych mianowicie wieków Chrześciaństwa. Nie zwrócił na to ubóstwienie (apoteozę) uwagi autor Historyi Literatury polskiej w zarysach, a natomiast powtarzał nam już znane wiadomości z Łukaszewicza. Dla przykładu przytaczamy kilka wyjątków, które P. Wojcicki prze-

pisał wprost z Lesława Łukaszewicza nie cytując go nawet (tylko o Janie Opalińskim zacytował):

| *K. Wł. Wojcicki.* | *Lesław Łukaszewicz.* |
| --- | --- |
| Jan Opat Witowski, nieodstępny towarzysz Władysława Łokietka złożył pieśni: „o męce pańskiéj," które długo po kościołach w poście śpiewano. | Słowo w słowo toż samo. |

*Stanisław Ciołek.*

| | |
| --- | --- |
| Dosłownie przepisane | (Żył na początku 15 stulecia, biskup poznański). Z Janockiego (Litterarum in Polonia propagatores) przytaczamy o nim taką wiadomość: „Szczególniéj słynął poezyą i nietylko owe starożytne wiersze, w których wzorem innych narodów, waleczne, mądre i szczęśliwe dzieła Polaków sławionemi były, z grobów niepamięci wydobył, przybrawszy je w zdrowego życia postać —ale wiele pieśni z własnego dowcipu wypracował, w których i ważność rzeczy i wdzięki ojczyczystéj mowy dziwnie uwielbia. (Zobacz Jusz. Dykc. poet. pol. T. I.)--Nie wiemy ani o jednym wierszu jego któryby był znajomym. |

Pan Wojcicki z całą dokładnością przytacza tom i stronnicę dzieła tam, gdzie to przytoczenie przepisuje, np. z Łukaszewicza, Ossolińskiego i t. p., jeżeli zaś przytoczenia nie ma lub nie zacytowana stron-

nica dzieła, przepisuje tekst a przytoczenie zostawia w jego postaci ogólnéj. Oto przykłady:

*K. Wojcicki.*

*Paweł z Zatora* mistrz na pogrzebie Władysława Jagiełły miał w roku 1434 *w języku polskim mowę*, w któréj wyliczając pobożne i dobre postępki króla Władysława wszystkim swym słůchaczom słodką swą wymową łzy wycisnął. *)

*) Długosz.

Długosz mówi, że Władysław i t. d. — przepisano i tu słowo w słowo z Łukaszewicza.

*L. Łukaszewicz.*

O krasomóstwie znachodzimy dwa ślady w Długoszu *). Mistrz Paweł z Zatora i t. d. co do słowa tak samo.

*) Władysław, syn Kazimierza Jagielończyka przyjąwszy w roku 1471. czeską koronę, miał mowę do czeskich Posłów w przytomności ojca i Senatorów *w języku polskim*, którą wielu do łez pobudził.

Z małemi, nic prawie nieznaczącemi zmianami przepisano z Łukaszewicza co ten pisarz powiedział o Jędrzeju Gałce z Dobczyna, którego wiersz cały przytoczył P. Wojcicki i t. p. Ani słowa o znaczeniu tego znakomitego w piśmiennictwie naszém autora, od którego zaczyna się zwrot krytyczny, co się przerodził późniéj w satyrę w dziedzinie religii, polityki i moralności w towarzystwie (obyczajowości). P. Wojcicki przytaczając nawet kilka wyrażeń w tekście Gałki, użyć ich nie umiał, i dla tego nie pokazuje w prawdziwém świetle tego pisarza, który był zjawiskiem koniecznėm w piśmiennictwie naszém i dla tego godne są ze wszech miar uwagi, usiłowania jego w ożywieniu ducha krytycyzmu (jaki się naturalnie mógł podówczas rozwinąć) nauki tamtoczesnéj. Gałka, był to człowiek z talentem jak Grzegórz z Sanoka, co się pokazuje nietylko w jego pojęciach ale nawet w środkach krzewienia pojęć w dziedzinie religijnéj. Obrał on formę najdostępniejszą dla ogołu, formę, w któréj mógł upowszechniać swoje myśli, to

jest, pieśni religijne. Widać, że w XVtym wieku pieśni te były bardziéj dostępne dla ogółu i działały nań więcéj niż się na pozór zdaje z faktów, jakie nam przedstawiają dzieje piśmiennictwa. Przed Kochanowskim i Rejem nawet musiał być uprawiany na téj drodze język polski, który inaczéj nie byłby stanął tak wysoko w rozwinięciu swojém w XVItym wieku. Reformatorowie religijni XVI wieku mieli już język udoskonalony, który się tak bujnie rozwinął przy ich usiłowaniach, że nic prawie do oczekiwania nie zostawia. Biblia Radziwiłowska przedstawia niemal taką samą czystość, wdzięk, okwitość i moc wyrobienia języka jak dzieła nieocenionego pod tym względem Skargi.

**H. S.**

# DRAMATA i KOMEDYE MNIEJSZE

## JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

(PRZEGLĄD).

Dziwny postęp, dziwne wyrabianie się talentu Korzeniowskiego widzimy ciągle. Pisarz ten jest niezawodnie jednym z najzdolniejszych dramaturgów dziś żyjących, co pokazują najnowsze dzieła jego, utwory prawdziwie ludzkie, wyczerpujące najgłębsze tajniki uczuć i skłonności, popędów i chęci naszych, wydobywające na jaw najskrytsze myśli nasze.

Korzeniowski nie jest szczęśliwy w prowadzeniu intrygi, w zawiązywaniu i rozwikływaniu tak zwanego węzła dramatycznego: tok rzeczy nie zawsze jest u niego płynny, jakaś czasem surowość, nieokrze-

sanie, chropowatość rzeczy, albo nawet trywialność, oklepane formy i zwroty, niby wyuczone grzeczności i dygi—oto są zarzuty jakie dotychczas można było czynić dramatom Korzeniowskiego mniéj więcéj słusznie, a mianowicie *Próbom dramatycznym*. Dziś nam się w innéj całkiem postaci pokazuje utalentowany autor: Umarłych i Żywych, Żydów i obecnych dramatów, tudzież komedyj.

W jednéj z tych komedyj to jest, fraszce w 1ym akcie pod nazwą *Panna Katarzyna w długach*, skąd inąd nam już znanéj, gdzie P. Korzeniowski wprowadza samego siebie na scenę, pokazał nam szanowny i słusznie ceniony autor, uczucie sił swoich a raczéj głębokie przeświadczenie o stanowisku swojém.—P. Katarzyna tak mówi o dramatach P. Korzeniowskiego do Sędziego, który jéj te dramata za karę przepisywać każe: „To są kompozycye z jakiegoś konwencyonalnego, niemiecko-angielskiego świata, których oryginały chyba na księżycu egzystować mogą. Charakteru swojskiego, miejscowego, historycznego, podaniowego zupełnie w nich brak. To też Autor usiłuje zawsze utrzymać się albo w obcych krajach i obcych dziejach, albo w kraju jakimś idealnym, który na mappie Europy nie znajduje się." P. Korzeniowski na to odpowiada: „Rzeczywiście! lubię przebywać myślą w tym kraju, który na mappie Europy nie znajduje się. W powyższych zarzutach pani jest wiele prawdy: widać jednak żeś pani stroną i że stoimy przed Sędzią. Pani Dobrodziejko! trzeba być naprzód poetą, potém poetą dramatycznym polskim, ruskim, niemieckim lub angielskim. To ostatnie jest najwyższym szczeblem sztuki, a ja jestem dopiéro na początku swojego zawodu."

Wybornie, przednio, doskonale! Nie można było lepiéj odpowiedzieć swoim krytykom. P. Korzeniowski jednak odpowiada żywiéj jeszcze rzeczą samą; bo śmiało rzec można, że w jego dramatach wieje nieraz duch Szekspira, duch prostoty i wykończenia artystycznego, przypominający nam genialne utwory Eschyla, Sofoklesa i Eurypida. W komedyach pokazuje P. Korzeniowski także wyższość talentu natchnionego, twórczego, i dla tego np. *Zakład,* komedya we 2ch aktach obecnie wydana, więcéj warta niż wszystkie razem wzięte komedye Fredry, które ściągną może uśmiech na usta, ale nie pobudzą człowieka

do zastanowienia się nad sobą, nad światem i życiem. Komedya, o któréj mowa, pokazuje wielką znajomość serca ludzkiego i niepospolitą znajomość świata i ludzi w ich stosunkach konwencyjnych, wymuszonych, sztucznych. Charakter myśli, gra uczuć i wrażeń—oto co nas zajmuje w *Zakładzie*, nie zaś układ, węzeł dramatyczny i t. p. bawidełka, cacka, których najmniéj P. Korzeniowski używa—w przekonaniu, że sztuka dramatyczna nie jest maryonetką, ani powiastką z Tysiąca i jednéj nocy, dla ciekawości tylko napisaną. Deland i Morwal dwaj przyjaciele założyli się o 50 napoleondorów o to, że jeżeli starania Morwala o pozyskanie względów kobiety uchodzącéj za wzór cnoty i wiary, będą daremne i w sumieniu przekonany będzie, że przegrał, pieniądze do Delanda miały należyć; gdyby zaś Morwal zaręczył słowem honoru że wygrał, nie pytając nawet o imię téj, która go uczyniła zwycięzcą, Deland ma mu równą summę zapłacić. Morwal jest bogacz, człowiek rozpustny, ale wykształcony i czujący swoję nikczemność, jednakże jak większa część ludzi trzymający się zdania Horacego: *Video meliora proboque, deteriora sequor.* „Szczęśliwyś mój przyjacielu (mówi do Delanda), że masz czém zająć myśl i serce i rzeczywistą usługę wypłacasz dług społeczności, do któréj należysz. Ja jestem jak ów wilk na owocowém drzewie: podobny do gałązki, ani z niego ozdoby, ani kwiatu, ani owocu: szkodzi tylko póty, póki go nie zetną.”

*Deland.* To źle! Czując że ścieszka twoja błędna, czemuż z niéj nie zejdziesz?

*Morwal.* Zapóźno! Pokochałem próżnowanie i myśl, równie jak nogi przywykły do włóczęgi.

*Deland.* Nie wiedziałem żeś tak seryo uorganizował tę niedołężność twego serca.

*Morwal.* Cóż robić? Stało się! Śród innych ludzi byłbym innym. Zły przykład mój przyjacielu jest jak błoto i pókiś czysty, wybierasz kamyk i idziesz ostróżnie; gdy się raz dobrze zwalasz, brniesz środkiem ulicy i tém więcéj cię to bawi, im głębiéj twoje nogi toną; ale nie mówmy o tém, i t. d.

Rozmowa ta była po długiém niewidzeniu się dwóch przyjacieli.— Morwal dowiaduje się od Delanda, że ten się ożenił—z kobietą, którą

kochał, czyli raczéj w któréj się kochał—Morwal. I Karolina go kochała—ale to przeszło, a chociaż w sercu zostały ślady dawnéj skłonności, wytrawia je święte uczucie powinności, bo i myśl jéj i dusza jest dla męża. Scena między Morwalem (który chce szukać rozrywki w nowéj czyli raczéj odświeżającéj się miłości) i Karoliną—jest wcale zajmująca. Karolina zna już nie źle świat—umysł jéj dojrzewał pod wpływem doświadczonego, dobrego, kochającego ją męża i dla tego opiera się wszystkim wspomnieniom przeszłości i czarującéj ponęcie pierwszéj miłości czy jakiekolwiek było to pierwsze uczucie. Jakich tylko sprężyn mógł użyć Morwal, użył ich—dla uwiedzenia Karoliny, do takiego stopnia, że ta się zapytuje siebie: „Kochaż on mnie jeszcze?—O nie! (mówi po chwili zastanowienia) on mnie nawet nigdy nie kochał. Był wolny i nie wrócił. Dziś, na cóż ten potok słów? Chciał zakrzepłą ranę rozedrzeć dla igraszki, dla błahego tryumfu." Świat, wypadki, stają się zwykle aniołem stróżem człowieka, bo świat jest opiekuńczém prawem życia i to nieraz czynimy w potocznym upływie wypadków, czegobyśmy inaczéj nie uczynili i odwrotnie—zrobilibyśmy wiele złego, gdyby nam coś nie przeszkodziło w świecie. Deland się dowiaduje, że ma wyjeżdżać do Egiptu jako Vice-Konsul, a Morwal osławiony w Paryżu, jako rozpustnik i człowiek bez czci i wiary. Karolina ma wyjechać do Egiptu i wié o niecném życiu Morwala: podwojona więc odległość ją rozdziela od dawnego kochanka. Morwal wchodzi właśnie po téj chwili, kiedy Karolina wyrzekła: „Jest prawdziwie jakiś anioł, który czuwa nad słabością naszą: ja szczególniéj powinnam mu dziękować za jego niezmordowaną obecność!"

„To jéj suknia mignęła (mówi do siebie Morwal). Jest coś doprawdy, co mnie do téj kobiety pociąga. Przebyłem w bród całą zatokę intryg salonowych, zwiedziłem cały archipelag zakulisowy i zaczynam się nudzić. Tu podobno trafię na skałę: tu płynąc, będę mógł przynajmniéj myśleć o rozbiciu i ta myśl podniesie moję energię. A przyjaźń! a układ! Jeśli ma wygrać, niechże własna żona da mu zwycięztwo!" Karolina jest w niebezpieczeństwie, bo walczy z własném uczuciem i dla tego nie chce się widzieć z Morwalem, który jest pewny swego i myśli sobie: „Jest więc tajemny głos w jéj duszy, co ją ostrzega o niebezpieczeństwie. Ta bojaźń rodzi we mnie pewność wy-

granéj, bo to, coby kogo innego cieszyło, jest właśnie moją niedolą. Póki roję, póki śród złotych mar imaginacyi widzę bóstwo zwycięztwa trzymające wieniec, póty w życiu samém jest coś elektrycznego, co mnie wstrząsa i t. d. Do takiego stopnia posuwa się Morval, że nawet swoje złe życie uważa za sposób podbicia serca Karoliny; „Prawda! (mówi) życie moje było nieraz pełne hańby—rozpusta opanowała myśli moje i nigdym się tak sobą nie brzydził, jak w téj chwili, gdy czysty wzrok anioła pada na moje zbrudzone piersi. Ale czy pani myślisz że w téj całéj drodze intrygi i podłego zwodzicielstwa, serce moje miało jakikolwiek udział?”

Szatańska, piekielna to wymowa, jeżeli sobie przypomnimy, że Morwal tylko dla zakładu, dla kaprysu i rozrywki pragnie uwieść Karolinę. Tu jednak zamienia w śmieszność wszystkie podobne zapały i albo odpowiada z ironią: „Brawo! Panie Adolfie! Uważałem to zawsze, że Pan masz wielkie usposobienie do wymowy, szkoda że gardzisz miejscem w Izbie Deputowanych—mógłbyś się Pan odznaczyć i z pożytkiem dla kraju...” albo zupełnie poważnie: „Oprócz pięknych frazesów, nic tu nie widzę. Nie wysilaj się pan daremnie, bo ja żegnam pana na zawsze!” Morwal chwyta i tę okoliczność, a dowiedziawszy się, że Karolina z mężém za dwa dni do Egiptu wyjeżdża, postanawia sobie udać się do Egiptu i tym staroświecko-kawalerskim czynem poświęcenia zjednać sobie serce Karoliny. Gdy jéj to oświadczył, Karolina śmiejąc się odpowiada: „do widzenia się,” i już walka jéj uczuć skończona z aktem pierwszym a poważny dotąd dramat zamienia się na prawdziwą komedyę przy końcu w akcie drugim.

Karolina wierzyć nie chciała Morwalowi, że ten przybędzie do Egiptu i dla tego dziwi ją z początku jego przybycie. Tu następuje znowu scena udanego uniesienia Morwala i poważnéj obojętności i zimnego rozsądku Karoliny, która w nas budzi poszanowanie i cześć, uwielbienie. Doświadczenie stało się jéj nauką—Morwal deklamuje, gdy mu Karolina powiedziała, że przyjechał pewno do Egiptu dla decyfrowania hieroglifów, a gdy dawna kochanka tłumaczy mu jasno jak na dłoni, że jego mowa jest to koncept nieznośny i śmieszny, żegna go i odchodzi.—Morwal sobie myśli: „Przyjdzie doprawdy przestać na samych starożytnościach. Zdaje się żem kapitalne głupstwo zrobił.”

Potém jeszcze chce dowcipować, ale mu się nie udaje, a w rozmowie z Delandem, który spotyka Morwala przy drzwiach pokoju Karoliny, piękna jest, pełna wyrazistości i życia scena między Morwalem, Delandem i jego żoną; na pół żartobliwa, na pół poważna—prawdziwy kalejdoskop życia ludzkiego. Scenę tę rozpoczyna Morwal patetycznym wykrzykiem na widok Delanda, który wszedłszy i ujrzawszy go przy pokoju żony staje zmieszany.

„Ah jak się masz? kochany Deland! Jakże rad jestem że cię widzę.

*Deland* (cofając rękę). Jeśli mam prawdę powiedzieć, ja z méj strony tak zbyt wielkiéj radości nie czuję.

*Morwal.* Zmówiliście się widzę, aby mnie źle przyjmować.... Słuchaj Albercie! przypominasz sobie nasze zobowiązanie (zakład)? Oto twoje pieniądze—przegrałem.

*Deland.* (ze wzdrygnieniem usuwając rękę) Co to jest?

*Morwal.* Masz anioła kobietę! szanuj ją i kochaj, bo na to zasługuje.

*Deland.* Śmiałeś więc targnąć się na jéj honor?

*Morwal.* Był to żart, który ci daje przekonanie o jéj cnocie.

*Deland.* I dla żartu przyjechałeś aż tu?

*Morwal.* Miałem czas i pieniądze a przytém nie miałem nic lepszego do czynienia....

*Deland.* Jak wydrzeć przyjacielowi pokój i życie.

*Morwal.* Jak bo ty to seryo bierzesz!

*Deland.* Bo ja nie żartuję z sumieniem, i każdy, kto sobie podobnéj pozwala igraszki, jest w moich oczach podły.

Przychodzi do pojedynku, Karolina jednak wpada z uwagą, że „honor kobiety wtenczas tylko skrzywdzić można, gdy ona sama na swoję hańbę pozwala.—Dla tego (mówi do męża) jakiekolwiek mogło być przedsięwzięcie tego pana, bardziéj ono twojego śmiechu warto, niż gniewu!" Scena ta byłaby wyborna, gdyby nie za wiele objaśnień, których się czytelnicy sami domyślić mogą. Wada ta rozwodnienia i że tak powiem wyciągania scen, jest wadą organiczną, którą dotąd zarzucać można P. Korzeniowskiemu. Morwal mówi do siebie: „O! do jak głupiéj roli przyszedłem!" a kiedy Karolina powiedziawszy naprzód:

— „Czemże jest przyjaźń dla rozpustnika? czém cnota i honor niewinnéj kobiety? — Rzemiosło twoje Panie Adolfie obudza we mnie

odrazę"— daje mu nakoniec nauki moralne na seryo: „Czas upamiętać się, Panie Adolfie! czas wrócić do Francyi, czas użyć pięknych zdolności nie na zgubę słabych i łatwowiernych kobiet, ale na pożytek kraju, na dobro ziomków, na zaszczyt własnego imienia. Tą drogą prędzéj znajdziesz serce, które ci będzie szczerze wylane, które cię pokocha i odda się bez podziału.—Próżne kobiety lubią ladajakie hołdy udające miłość, udają także że wierzą improwizowanym romansowym trzpiotom bez zasługi, bez wartości; ale kobieta szlachetna, jeśli przyjmuje z wdzięcznością i roskoszą cześć, to tylko cześć wyłączną człowieka, którego szanuje. Poganin oddany wielobóstwu, nie zdoła wzruszyć jéj serca, a najpiękniejszą wymową rozśmiesza ją tak, jakeś pan mnie dzisiaj rozśmieszył."

Kiedy jeszcze na dobitkę nieszczęścia Karolina dodaje na pół żartem: „Chociaż się panu nie powiodło, mam nadzieję, że tę podróż do Egiptu nie będziesz uważał za zupełnie straconą: bo naprzód zechcesz pewno skorzystać z téj małéj lekcyi, którąś tu odebrał, a co ważniejsza będziesz miał zręczność odwiedzić i podziwiać piramidy"—wtedy Morwal widząc ją odchodzącą ze śmiejącym się mężem, chwyta się obiema rękoma za głowę i mówi: „Ha! monstrualna kobieta! Czém prędzéj do Paryża! Tam nie ma potworów."

Jest to jak widzimy komedya, ale nie bardzo śmieszna—więcéj budząca myśli, uczuć, skłaniająca nas mimowolnie do zastanowienia się nad sobą i ludźmi. Krok to olbrzymi od Fredra, który wskazuje śmieszność (jak dawne bajki, satyry, epigramata) ale nie widać w nim téj znajomości serca ludzkiego i źródła zepsucia w namiętnościach ludzkich, jaka się pokazuje w Korzeniowskim i utworach spółczesnéj poezyi i Literatury w ogólności.—Złość i głupstwo własną bronią jedynie pokonane być mogą, a czego żadne zasady moralności dokazać nie zdołały, tego dokonywa nieraz dowcip, żart, ironia, chociażby w kształcie pochwały.

Za takie komedye dzięki Korzeniowskiemu—cześć mu i chwała! Zapominamy o pojedynczych drobnych usterkach, obok pięknéj całości organicznéj, w któréj się jak w każdym organizmie pokazuje siła życia, myśl bijąca pulsem życia.

Komedya *Zakład* jest utworem ze znaczeniem ogólném, światowém.

*Piąty akt* jest to dramat poważny, surowy, dramat życia ludzkiego w całém znaczeniu tego wyrazu, dramat budzący całą głębokość uczucia na widok upadku człowieka, na widok rozerwanych stosunków koniecznych towarzystwa przez namiętności, których ofiarą pada życie.

Hrabia kocha się w Elizie, żonie Wacława, która nie jest na jego miłość nieczułą; ale bardzo uważa aby się nie narażać na hańbę w oczach świata. Scena pierwsza zaczyna się od rozmowy Elizy i Hrabiego, gdzie poznajemy ich stosunki. Wacław domyśla się tych stosunków i spotkawszy Hrabiego z żoną, zgrawszy się w karty, powiada do Elizy: że i ona stawia podobno wszystko na kartę. Przypomina on przeszłość żonie, przypomina obowiązki i zgwałcenie ich świętości. Wiele trzeba było znajomości serca ludzkiego, aby skreślić obraz uczuć Wacława, który widząc Hrabiego z żoną, gdy ta się tego zapiéra, nie każe jéj się poniżać do kłamstwa, ale i przyznawać się nie każe." Dotąd (mówi daléj) starałem się czuwać nad tobą, jak twój aniół-stróż, zdaleka, tajemnie. Ostrzegałem cię tylko niekiedy spójrzeniem, smutkiem. Dziś przywodzę ci na myśl dawniejsze lata, aby ich obraz przypomniał ci, czém dla mnie jesteś. Dziś, gdy już nie wiem z pewnością jak dalece jestem nieszczęśliwym i pokrzywdzonym, ostrzegam cię Elizo, iż w tém sercu głębokiém oprócz czułości dla ciebie, jest uczucie straszne, okropne! Przypominam ci, że tam, dzieci nasze nie wiedzą o tém, że może ta chwila przygotowała im sieroctwo..." Eliza chce wyjeżdżać z domu Hrabiego, który ją wraz z mężem wstrzymuje.—Cudna jest rozmowa Doktora, przyjaciela ojca Hrabiego i Wacława z Hrabią: z całą potęgą życia pokazana tu siła namiętności. Hrabia przyznaje, że kocha Elizę, ale jéj nie kochać nie może. „Występną jest (mówi) natura, nie ja. Możnaż potępiać człowieka, który nieostróżnie zbliża się nad brzeg przepaści; ale gdy już stracił równowagę, onże winien, że się w powietrzu utrzymać nie może? że go ziemia ciągnie wszystkiemi siłami, których rozum wyrachować nie umie? Oto jest moje położenie: czy okropne, czy szczęśliwe? nie wiem.... o tém myślić nie powinienem, bo wybierać nie mogę. Sądź mnie teraz jak ci się podoba. Jeżeli chcesz, przedsiębierz nawet środki dla odwrócenia nieszczęścia, które przewidujesz." Oto potęga namiętności wy-

rozumowanéj, nieprzepartéj niczém—chyba wypadkami świata zewnętrznego, który daje ostateczne wykończenie wypadkom i miarkuje, ogranicza namiętności ludzkie, gdy sam człowiek umiarkować ich, ani im położyć granicy nie umie. Doktor chce oddalić Elizę od Hrabiego, bo rozłączenie jedyném tu lekarstwem być może. Wacław jednakże znalazł już drugie lekarstwo—truciznę w szafie Doktora. Monolog Hrabiego, który pod ten czas właśnie odebrał list od Elizy, aby się jéj wyrzekł—należy do najpiękniejszych w całém dziele. Jakaż tu znajomość skłonności ludzkich, jakie uznanie całej potęgi namiętności, które miotają człowiekiem najrozumniejszym, jak wicher trzciną! Ten ustęp i wiele innych w całościby przytoczyć trzeba, co jednak zakres recenzyi przechodzi.— Równie piękna jak wspomniony monolog, jest rozmowa Hrabiego i Wacława, gdy się umawiają o rozwód za pół miliona. Są to wszystkie rzeczy tak dobrze pomyślane i wykonane, że je trzeba czytać, aby ocenić; czuć je tylko można, rosprawiać o nich, siekac je nożem anatoma, jak dramata Szekspira, trudno: bo zresztą żadna analiza rozumowania, najbardziéj szczegółowy rozbiór nie może wyczerpać całéj głębokości pomysłu, ale stanowi tylko napomknienia mniéj więcéj szczęśliwe.

Pomijamy tok rzeczy małoznaczący, troskliwość Elizy i Doktora o los Wacława. Aby przystąpić do końca, gdzie się rozwiązuje dramat cały śmiercią Wacława i Elizy. Na pierwszy rzut oka razi tu nas nieprawdopodobieństwo, ale zastanowiwszy się głębiéj nad naturą namiętności ludzkich, jest tu prawdy wiele, bardzo wiele. Prawda tu artystyczna. W tym przypadku podobnych charakterów, ludzie postąpiliby podobnie, nie mogliby postąpić inaczéj.

Wacław kazał służącemu nalać połowę lekarstwa (trucizny) w jeden z dwóch kubków i oba napełnić wodą, zbliża on się potém do stołu, zakrywa kubki serwetą i mówi, czekając na Hrabiego, na tego przyjaciela swojego, któremu za półmiliona miał przedać Elizę;

— „Czekam cię teraz mój gościu!.. Igrałeś z mojém szczęściem; ja teraz igram z twojém życiem—a może i z mojém—mniejsza o to. Ten sam los, który w kolebkę twoją włożył miliony, niech kieruje ręką, która wybierać będzie.—"

Pełen piękności ustęp. Wchodzi Eliza:

— „Sam jesteś mój mężu?
— „Sam, zupełnie sam.
— Nie śmiem się do ciebie zbliżyć.
— Oddajesz sobie sprawiedliwość.
— Byłam winną.
— Byłaś?
— Byłam! To chwilowe obłąkanie, wierz mi.
— Wiara Elizo, jest jak honor, jak życie. Raz tylko stracić ją można.
— Więc już nie ma dla mnie nadziei?
— Dla mnie nie ma, dla ciebie jest jeszcze.
— Bez twojego szacunku?
— Może nawet bez szacunku Hrabiego, ale w jego objęciach.”

Obrobienie satyryczne nic do oczekiwania nie pozostawia w podobnych ustępach.

W kilku ostatnich scenach tyle jest myśli ile słów. Każde wyrzeczenie budzi w nas nowe wrażenie mocne, niepowszednie, uczucie przykre, ale zarazem głęboko ludzkie. Opowiedzieć treści niepodobna innemi słowy, bo każde słowo jest tam wyrazem pewnego uczucia, odcieniem myśli.

Walka tu namiętności tak różnorodnych a nawet więcéj myśli niż słów. Zostawiamy czytelnikom samym zaspokojenie ciekawości w tym względzie, tém więcéj, że takich arcydzieł, jakiémi są niektóre dramata Korzeniowskiego, nie znać nie godzi się czytelnikom polskim. Wacław i Hrabia piją z dwóch kubków truciznę—Wacław, który podaje resztę Elizie i ta wypija, a przeżywszy chwilę Wacława, mówi: „Skończyłeś,—pokój twojéj duszy! wkrótce pójdę za tobą! Żona dopełniła swéj powinności; teraz koléj na matkę (do Hrabiego) Henryku nie patrz tak okropnie. Także to straszne dzieło, aby tobie, mężczyznie, odbierało odwagę, gdy tyle powinności przed tobą. Henryku! kochałam cię! W téj uroczystéj chwili ci to wyznaję. Oto moja ręka, Henryku. To uściśnienie twéj żony, a tam—twoje dzieci!” Nic tu dodać nie można.

*Stacya w Hulczy*, sztuczka wcale słaba. Jest to szkic obyczajowy, ale widać nie wykończony: charakterystyka osób blada, wiele zostawia do życzenia.

# POGANKA.

(Dalszy ciąg.)

Dzień był prześliczny, mroźny wprawdzie, że aż śnieg skrzypiał, ale taki jasny, taki ubrylantowany słońcem, że aż w oczy ćmiło.— Pędziliśmy z bratem—pędzili, aż nakoniec i w bór się wjechało—ja się nie mogłem nacieszyć iskierkom różnolśniącym po drzew gałęziach, po drodze naszéj rozsianym, i téj czarnéj Zitcie i temu czarnemu Molochowi, wśród owéj do koła rażącéj białości. Nagle Zitta strzygnęła uszami—Moloch stanął i sierści najeżył.—Bratu rozdęły się nozdrza, cmoknął ustami, jakby chciał powietrze ucałować i konia zatrzymał.

— A to co będzie Karolku? spytałem.

— Cicho, cicho, to wilk.

— O wilkach słyszałem tylko z powiastek Teresi powiastki były okropne, lecz i moja ciekawość wielka. Brat się przechylił, popatrzył mi w oczy i tę rękę którą mię obejmował, bardziéj na lewy bok przesunął.— Spójrzeniu jego dość spokojném odpowiedziałem spójrzeniem, jednak ręczyć nie śmiem czy pod ręką brata coś tam w piersiach moich silniéj nie zastukało.

— Dobrze, dobrze! wcale nie źle,—poszepnął Karol sam do siebie, a potém głośniéj dodał:

— Zabijemy wilka Benjaminku!

— Jak to, czy i ja go zabiję?

— I ty chłopcze—tylko uważaj, baczność—przytul się do mnie plecami, tak, dobrze—teraz—wziął fuzyę, wymierzył—teraz daj tu obie ręce, trzymaj gdzie ja trzymam—i ułożył mi palce na kurku i na moich dopiéro swój własny położył. W czasie tych przygotowań mały punkcik na drodze zdala czerniący, przybliżył się wolno, poważnie

jak monarcha w granicach państwa swojego—było to ogromne wilczysko. Moloch warknął, Zitta parsknęła, Karol zawołał psyt i znów wszystko ucichło, a wilk szedł naprzód nieustraszony—zuchwały. Ten wilk, dowiedzieliśmy się późniéj, był slawny w okolicy. Dopiéro na kilkanaście kroków od nas dał ogromnego susa. Moloch także nie mógł wytrzymać—rzucił się naprzód, ale Karol głośno zawołał znowu—leżéć—i Moloch przyległ, skowycząc wściekle i tarzając się po śniegu, jakby z rozpaczy upokorzenia. Wilk stanął—w téj chwili brat mi palec nacisnął—strzał wypadł i śnieg się zarumienił czerwoną farbą.—Ale prędzéj niż to wszystko mogliśmy spójrzeniem objąć, zwierz skaleczony rzucił się prosto do piersi Zitty—klacz przeraźliwie zarżała i tak gwałtownie cisnęła na bok, że ja który się ani siodła, ani brata nie trzymałem w téj chwili, spadłem jak kulka na ziemię.—Kiedym się zerwał równemi nogami—pamiętam w najdrobniejszych szczegółach obraz który mi się przedstawił. Takich obrazów mam kilka w mej duszy—mimo wiedzy prawie odbiły się na niéj tak dokładnie—tak silnie, że czasem aż się sam wydziwić nie mogę, zkąd mi do pamięci wracają wycieniowane zupełnie jak obecność.—Z tego obrazu naprzykład, widzę doskonale, nietylko mego brata co z siodła zeskoczył—przedemną stanął i obie ręce rozgarnąłby mię własnemi piersiami, lepiéj od wszelkiego niebezpieczeństwa zasłonił, nietylko—Zittę, która się wspięła, pod przemożnemi łapami wilka, co choć targany przez Molocha jéj napierśnika trzymał się jeszcze—nietylko Molocha co w kudły przeciwnika tak łeb zanurzył, w rozszarpane mięso tak pysk utopił, że mu go nawet już widać nie było—nie tylko wilka owego, jak na tylnych łapach wzniesiony odwrócił się do nieprzyjaciela, gwałtowném karku przegięciem; ale widzę krwawo migotliwe jego spójrzenie, buro-żółty połysk sierści—widzę wszystkie zęby w roztwartej paszczęce i mógłbym je anatomowi wyrysować bez uchybienia żadnego.

Karol, po tej pierwszej chwili niespokojności usunął się z przedemnie, wziął fuzyę i z najzimniejszą krwią do rąk mi ją podał znowu—jednym rzutem oka wymierzył—za palec mój pociągnął i wilczysko ani ziépnęło już nawet.—Brat prosto poszedł do Zitty, piersi jej trochę okaleczone chustką przyłożył, rzemieniem trenzli obwiązał, Molocha pogłaskał, za uszy wytargał, w łeb szeroki pocałował, potem

skoczył lekko na siodło i znów gwiznął żeby Zitta przedemną uklękła.—Przez całą drogę potem rozmawialiśmy, jakie to śliczne z tego wilka będzie futro pod nogi dla matki—rozmawialiśmy o wielu innych rzeczach—tylko jeden wyraz żadnemu z nas do ust się nie przyplątał—wyraz „bojaźń."—Karol nie wspomniał go i w zapytaniu nawet; dał mi uczuć szczęście pierwszego zwycięztwa jako najnaturalniejszą własność, jako przynależne mojej ludzkiej istocie zdarzenie.—Późniéj coraz częściej brał mię z sobą na polowanie—i kiedym zabił pierwszego dzika, aż mię uściskał z radości, lecz uściskał dla tego że dzik był pysznym odyńcem, a nie dla tego wcale, że mu dałem na pięć kroków do siebie przypędzić i tak celnie trafiłem, jak gdyby kulę życzenie poniosło.

Siostra Bronisława jedno słowo tylko rzuciła w życie moje. Nie pamiętam, która to już była rocznica mych urodzin, ale przypadała jak widać w tej chwili rozwijania się, kiedy człowiek zaczyna głowę podnosić i w niebo spoglądać.—Późnym wieczorem siedziałem na kamieniu pod lipą szeroką, cienistą—lipą na samym środku dziedzińca rosnącą. Bronisława siedziała przy mnie, milczeliśmy oboje; ale powietrze, ziemia, niebo całe, odzywały się do nas jakimsiś wyraźnym, choć nie wyrażonym głosem rojących nad trawami owadów, hukających żab po stawach, drżących w chłodzie listków drzewa.—Księżyc znowu był w pełni, gwiazdki wszystkie tak przed nim zbladły, że gdzieś z dala od niego ze dwie ich ledwie świeciło, a białe chmurki goniły się po ciemno-błękitnej przestrzeni, jak rozigrane trzody białorunych owiec niewidzialnego pasterza, albo jak stada śnieżnych gołąbków, albo też rozkładały się w srebrne pióra żeglujących po wodzie łabędzi, unoszących się orłów.—Czasem nawet przepłynęła jakaś łódka z tajemniczemi postaciami; czasem niby anioł w długiej powłoczystej szacie—bo i czegóż ja tam nie widział!—aż siostra wzięła mię za rękę.—Benjaminie, rzekła, gdyż ona jedna nigdy pieszczotą nie zmieniała imienia mojego.

— Benjaminie, czy słyszysz?

— Oh! słucham ciągle siostrzyczko, wszakże to łąki i drzewa tak grają.

— Benjaminie, czy widzisz? spytała znowu i wskazała do góry.

— Oh patrzę ciągle siostrzyczko, bo to piękniejsze, niż wszystkie Cypryjana obrazki.

— Benjaminie a czy czujesz co w twojej własnej piersi? i przyłożyła mi rękę do serca.

— Ja czuję, odpowiedziałem po chwili, że tak mi dobrze, jak kiedy Julia śpiewa, jak kiedy mię mama na kolana weźmie, jak kiedy mię Karolek na swoją Zittę wsadzi—i lepiej jeszcze, bo mi jest tak dobrze, jak wtedy kiedy nie ze zmartwienia płaczę, i kiedy w radości śmiać się nie mogę, jak kiedy chciałbym was wszystkich jednėm objęciem uściskać, i wszystkiemu jednėm rzutem oka zapanować. A to wszystko razem jest.... ja ci nie umiem powiedzieć czém to jest siostrzyczko.

— A ja ci powiem Benjaminie—tylko pamiętaj na całe życie swoje—to co słyszysz w tej chwili—co widzisz przed sobą, co czujesz w sobie—to wszystko—śpiewne, piękne, jasne, szczęśliwe—to wszystko jest Bóg.....

I zachowałem słowa Bronisławy, jako sama kazała na całe życie moje—i przerzuciłem wiele ksiąg mądrych i nie mądrych—kłamstw i prawd nasłuchałem się wiele, namarzyłem więcej jeszcze; lecz w każdej chwili, i po każdem przejściu, wracały mi te w dzieciństwie od siostry usłyszane wyrazy. Na nich rozwinął się ciąg ducha mojego, zaprzeczyłem sobie samemu, nie zaprzeczyłem im.—Byłem zmartwiony a bolejący—lecz choć nie czułem, wiedziałem przynajmniej zawsze że wszystko śpiewne, piękne, jasne i szczęśliwe, to Bóg—że mądrość to Bóg—że siła, to Bóg—że szczęście to Bóg—że miłość to Bóg..... Cały ów wieczór na kamieniu pod lipą z Bronisławą przesiedziany był wstępną życia mojego modlitwą.

Jeśli Karól i Bronisława tak wyraźnem lecz jedynem w mej przeszłości odbili się wspomnieniem, daremniebym za to Cypryjana i Terenię chciał w tych pierwszych latach dzieciństwa jakąś wyłącznością odznaczyć sobie, widzę ich w każdej godzinie, mam w pamiątce każdej.—Cypryjan malował mi, lub przez innych namalowane pokazywał obrazki.—Terenia o każdym z nich i jemu i mnie cudowne opowiadała historye—lecz gdybym chciał powtórzyć te co na mnie więcej zrobiły wrażenia, toby końca temu i przez dziś i przez jutro nie by-

ło; ja przecież w czternastym roku dopiero ich słuchać przestałem, a kiedym zaczął doprawdy sam nie wiem. Z nazwiskami otaczających mnie rzeczy, jednocześnie usłyszałem tysiące dziwnych wyrazów, jak np. zaczarowana księżniczka, piękny rycerz, cudowny sygnet, czarodziejski zamek, dijamentowe podziemne pałace—ogniste duchy na chmurach lecące—i to wszystko ułożyło się jakoś w naturę moją nie na zabobon, nie na słabość charakteru, ale prędzejbym powiedział na jakąś dziwną siłę fantazyi;—kiedyś—gdy wam się uiszczę z wywołanéj życzeniem waszém powieści mego życia i gdy znowu tak jak dzisiaj zbierzemy się na dobrą chwilę przed ten ciepły kominek, byle tylko wiatr nie świszczał, to państwu opowiem którą z tych bajek Tereni. Was to przecież nie znudzi, Kazimierzu, Teklo, Edmundzie—ci, co życia nie znają, ci co je poznali aż do stracenia ostatniéj nadziei, aż do odzyskania najpierwszéj spokojności, ci lubią bajki cudowne—wszakże prawda moi drodzy?—Ach te bajki, i te obrazki Cypryana! lecz Cypryan już wchodzi w szaloną biografiię moją—a mnie jeszcze myśli i słowa w dawniejszy czas uciekają ku świętszym pamiątkom.—O mo-im ojcu jużeście słyszeli, mój ojciec taki poważny, taki uczony, taki dobry i łagodny.—W szczupłym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery; lecz kiedy zasiadł do czytania, to bez nakazu, bez przymusu, prostym rzeczy i zwyczajów układem, tak wszystko ucichło dokoła, że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszéć.—Ja w tém wzrosłem —i nie pamiętam nawet, żeby mi kto w podobnych rzeczach spokojność zalecał.—Kiedy ojciec książkę roztworzył, matka szła po cichu na palcach przez pokój; siostry i bracia wychodzili najczęściéj, lub które sobie nieruchomie z robótką w kąciku zasiadło.—Jednego dnia i ja tak zostałem, przerzucając ostróżnie żeby mi nic a nic nie szeleściały karty, starego jakiegoś dzieła in 4, w którém były wszystkie wizerunki królów.—Oh! mój Boże, jak to ja pamiętam, Cypryjan gniewał się na nie, a szczególniéj że Wandzie dano rogatą czapkę—a Jadwidze ogromną kryzę, w któréj niby garbata i jakby dusząca się wyglądała.—Lecz ja nie byłem tak surowym krytykiem, mnie codzień jak coś nowego, bawiły i myszy gryzące Popiela, i ogromna peruka Wiśniowieckiego i łańcuchy Zygmuntów; bo też przyznać trzeba, że na wszystko zupełnie osobnym patrzyłem pryzmatem.

Tego dnia jednak na połowie skończyłem mój przegląd i zacząłem nie w książkę, lecz w twarz naprzeciw siedzącego ojca, bardzo uważnie się wpatrywać, bo za okno wywieszona makolągwa prześlicznie śpiewać zaczęła i miałem okropną chętkę wybiegnąć do niéj, a bałem się ojcu przeszkodzić, tem bardziej, że drzwi się jakoś trudno zamykały i otwierały—kto wie nawet czy klamka nie za zbyt wysoko dla mej ręki była osadzoną.—Patrząc, patrząc uważnie, spostrzegłem jak na raz ojciec brwi zmarszczył, i taki groźny twarz jego przybrała wyraz, jak gdyby się na kogo rozgniewał. Potem wsparł głowę na ręce i przez chwilę nie patrzył na książkę, lecz też przez tę chwilę wyraz gniewu, zmienił się w wyraz jakiejś wielkiej głębokiej boleści, a ciężkie i głośne westchnienie z piersi mu się wydarło.—Ojcze, ojcze co ci jest? czy cię co boli? spytałem prędko biegnąc ku niemu.—Ojciec smutnie się uśmiechnął, a dziś jeszcze daremniebym chciał wypowiedzieć gorycz tego uśmiechu, na owém męzkiém, pełnem siły i dobroci obliczu.—Bo mój ojciec był dziwnie pięknym mężczyzną. Równego jemu wiekiem,—a równego młodzieńczą prawie rzeźkością i grą fizyonomii, nigdy mi się spotkać nie zdarzyło.—Była to twarz pociągła, trochę żółtawo-blada, nos rzymski, brwi czarne mocno odznaczone, włosy od czoła rzadsze, i gdzie niegdzie już srebrzejące, wśród kruczéj innych połyskliwości. Oczy na które do połowy wypukła zachodziła powieka, wyrażały zwykle poważne zamyślenie i surowość jakąś, lecz za to w całym rysunku ust dość wydatnych, było tyle tkliwéj słodyczy, tyle pieszczoty prawie, że my dzieci nie bałyśmy się ani troszeczkę nawet, całéj surowości spojrzenia. Prawda że téż nas nikt nigdy ojcem nie straszył. Wyobraźcie sobie teraz, jakie wrażenie zrobić mógł na mnie gorzki uśmiech, na tych zazwyczaj tak dobrych, tak łagodnych ustach.

— Ojcze, ojcze! co cię boli? powtórzyłem z płaczem nieledwie.

— Mnie to boli, rzekł ojciec wskazując na książkę.

— Szkaradna, niegodziwa książka, zawołałem z oburzeniem i rzuciłem ją na ziemię.

— Źle robisz synku, odpowiedział podnosząc ją spokojnie.

— A cóż to jest ojcze?

— Historya.

— A cóż jest w téj historyi?

— O mój synku! wszystko czego już nié ma, wszystko co jest, wszystko co będzie, to się znajduje w książkach do téj książki podobnych.—A kiedym ja się dziwił bardzo, ojciec pokazał mi kartkę, na któréj różne znaczki były, i powiedział mi, że za pomocą tych znaczków mogę kiedyś wiedzieć, co robili umarli, słyszeć o czém mówiono najdaléj lub najdawniéj, widzieć aż po krańce ziemi i nieba, aż po głębię duszy ludzkiéj.—Ja też co prędzéj wszystkich nauczyłem się znaczków, ich użycie sam ojciec mi wskazał dziwnym sposobem. Pamiętam kiedy pierwszy raz dał mi do złożenia to słowo: „Mama cię kocha," to mi potém odebrał elementarz, kazał oczy zamknąć i wyobrazić sobie mamę w téj chwili, gdy nad mojém łóżeczkiem schylona budzi mnie pocałowaniem na dnia dobrego życzenie. Późniéj obiecał mi że w kilku literach zobaczę dużo kwiatów, drzew, owoców, i dał mi przeczytać—„ogród"—Późniéj na wyraz—„gwiazda"—przypomniał mi jak to ona maleńka drżącem światełkiem, gdzieś wysoko na niebie migoce, a powiedział mi jednak że gwiazda to świat. I ja tak nauczyłem się czytać od niego wyraz każdy obrazem, uczuciem i myślą.—Ale wy moi drodzy dziwicie się zapewne czemu dotychczas o matce mojéj nic nie nadmieniłem jeszcze. Ach! bo dla mnie w każdém wspomnieniu, ona tak była obecną, tak ją czułem przy sobie, że mi się zdało, jakbym ciągle o niéj tylko, albo do niéj mówił.—Matka.... ....Czy wy wiecie dla czego ja z takiém uszanowaniem z drogi ustępuję i głowy uchylam, gdy koło mnie przejdzie w podeszłym wieku kobieta?—czy wiecie wy dla czego nieraz w kościele a nadewszystko w jakim ubogim małym wiejskim kościołku, mile mi się łzy w oczach zakręcą, gdy postrzegę zdala przed stopniami ołtarza klęczącą postać kobiety?—Czy wy wiecie dla czego nigdy nie przejdę koło żebraka, bym do niego jałmużną ręki nie wyciągnął, koło smutnego, bym z chęcią pociechy myśli ku niemu nie zwrócił, koło płaczącego na drodze dziecka, bym go wyrazem pieszczoty nie utulił, na ręce nie wziął, w zimie przy własnéj piersi nie rozgrzał, lub w lecie od przejeżdżających wozów z niebezpiecznego miejsca nie usunął?—czy wiecie wy dla czego? oto dla tego, bo miałem matkę!... bo w każdéj chwili podobnéj, zawsze ją widzę przed sobą—tkliwą, anielską, błogosławiącą... tak wszystko czyniącą, jak ja przy niéj czynić nawykłem.—Oh! doprawdy, kiedy mi się błogie dni pierwszéj młodości, w pamięci rozwiną—kiedy późniejsze w przeciwieństwo stawię..... ale przecież, wy nie liryczněj elegii chcieliście odemnie, ja mam tylko co do wypadków mego życia waszą ciekawość zaspokoić.

Jednak czy się z was komu śniło kiedy, że go z wysokiéj bardzo i bardzo stroméj góry, np. z takiej góry z jakiej Chrystus widział

wszystkie królestwa ziemi i wszystkie skarby królestw, że go mówię z takiej góry w przepaść jakąś strąciła—ot dajmy na to, ręka szatana, któremu on, co nie jest Chrystusem, jak Bogowi zaufał.—Przypominacież wy sobie owo spadanie, coraz wolniejsze, coraz cięższe, ziemia cała już z przed oczu zniknęła, niebo tylko widać przez małą szczelinę, ale i niebo znika, a coraz ciemniej, coraz okropniej, a spadający wie, że tam gdzieś na dnie rozbić się musi, tylko dna nie dojrzy, nie dojrzy.—Oh! wtedy po pierwszej chwili odurzenia, następują długie chwile wściekłej rozpaczy—jest czas na wspomnienie każdej radości straconej—wszystkich nadziei swoich, wszystkich wzniosłych zamiarów, wszystkich może wielkich, może dla świata użytecznych zdolności—co tak bez śladu zniszczeją—których już nie ma nawet, choć my jesteśmy jeszcze. —A tu jakby dla zaostrzenia tortury, piekielną fantasmagoryą rozwija się przed nami ów obraz na owej górze podziwiany;—i choć poznaliśmy szatana, my czujemy żebyśmy znowu za jednę chwilę podobną drugi raz wieczność oddali.—I tylko nam sęp żalu kawałami serce kraje, że gdy się miało umierać, czemu się z tej góry głowy nie rozbiło.—A potém inna boleść, potém widzimy najdokładniej każde ziółko, którego jeszcze w upadku uchwycić się można było, rozważamy każdy sposób, każde podobieństwo ratunku, przekonywamy się że bylibyśmy nie upadli, że bylibyśmy się podźwignęli—gdyby jeden krok tylko, jedno poruszenie—jedna myśl—a teraz daremnie, teraz praw natury nie cofniemy, zaciężyliśmy nad głębią, trzeba spadać—spadać—spadać! Jedna przyszłość nam została—jedna nadzieja tylko zdruzgotania się tam na dnie—i gdyby raz już skończyć—gdyby spaść—gdyby nie żyć—cała rozpacz przesila się w tę szaloną niecierpliwość, ale przepaść głęboka—przepaść Miltonowska, do której to się leci dziewięć dni i dziewięć nocy. Więc niecierpliwość sama siebie zużyła—nareście człowiek jest kamieniem—wie i pamięta, lecz nie boleje—nie rozpacza już. Człowiek kamień gdy upadnie, czyż choć tam w głębi—ostatnią iskrą w rozbiciu ostatniém zaświeci.... Ach! darujcie mi, darujcie państwo, miałem zupełnie o czem innem mówić, ten sen, ta przepaść, to do niczego niepodobne—chyba do tego com ja czuł na jawie—ale wam niech los szczęści, cieszę się nieskończenie, że mnie tu nikt nie zrozumiał.

Ale za to zrozumieliście mój wiek dziecinny i ówczesną naturę moję—wiecie że zrodziłem się kochanym, wzrosłem kochającym—kochanie, zawsze kochanie, to cały moich kursów pedagogicznych summaryusz, w przydatku do niego nauczyłem się górnictwa i mając rok siedmnasty zostałem górnikiem.

Od tego to siedmnastego roku zaczyna się dziwaczna powieść bardzo zabawnych zdarzeń—uśmiejecie się serdecznie. *(D. c. n.)*